

*Die 6 septembris*

*Obóz pod Glinianami, słońce wschodzi*

O poranku pierwsze trąbienie zerwało na nogi żołnierzy Dymitra. To był znak, aby pachołkowie i czeladź gotowali konie, a towarzysze wstawali z kotar. Przy czym nie można powiedzieć, aby czynili to chętnie. Poprzedniego dnia wszyscy byli w wesółych nastrojach i jak w niebie mówili różnymi językami, a to za przyczyną przedniego wina i miodów. Za to rano chodzili milczący jak ryby, albowiem mocny trunek nie wszystkim wyparował z głów.

Od pierwszego trąbienia do drugiego upływa zwykle godzina, przynajmniej tak radził w swoich pismach wojskowych hetman Jan Tarnowski, pogromca hospodara Raresza, a przede wszystkim zdobywca Homla. Zwany przez wrogów – ciemnych Moskali – czarownikiem na pamiątkę tego, że wysadził wały prochem złożonym w podziemnym chodniku. Drugie trąbienie oznacza wymarsz albo początek popisu i koła generalnego, na którym Dymitr mianować miał pułkowników.

Godzina na siodłanie husarskich koni to wcale nie tak wiele czasu. Wszak konia trzeba wyprowadzić, zdjąć kantar, za-

łożyć mu na łeb ciężką husarską uździenicę zdobioną złotem i srebrem. Zapiąć pasek nachrapnika zwieńczonego połączoną blachą (podczas gdy druga, podobna, przylega do naczolnika), a potem dopiąć podgardle. Spiąć czanki munsztuka łańcuszkiem, przerzucić wodze przez łeb konia.

Ale to jeszcze nie wszystko. Teraz na grzbiet narzuca się czaprak i w zależności od tego, czy długi, czy krótki, spina się z przodu. Na to kładzie się czapraczek, a na niego turecką kulbakę. Podpina się popręgi – dwa pasy pod brzuchem konia, jeden z jednej, drugi z drugiej strony – zaciskając, na ile się da, bo potem, kiedy wierzchowiec pochodzi dłuższą chwilę stępem, popręgi się poluzują, a wówczas trzeba będzie je podciągnąć jeszcze raz.

Ale to jeszcze nie wszystko. Do przednich troków na ławkach siodła przypina się napiersień koński. A do tylnych – podogonie, pas, który krzyżuje się na grzbiecie wierzchowca i przechodzi pętlą – jak sama nazwa mówi – pod ogonem konia.

Ale to jeszcze nie koniec. Teraz trzeba nałożyć na kłęb olstra z pistoletami – połączone pasami i przypinane do pierścieni kulbaki. Końce ich zaś należy wsunąć w skórzane obręcze przy napiersieniu, aby nie trzęsły się w kłusie. No i gotowe. Wreszcie!

Wcale nie wreszcie, bo przed tym wszystkim trzeba konia sprowadzić z pastwiska, a koń, jak to zwykle koń, wróci pewnie cały poklejonny i zabłocony od tarzania się w trawie i błocku. A i dobrze, jeśli nie pokopany i pogryziony, jako że zwierzaki owe wiecznie mają między sobą jakieś niesnaski. Łąka jest bowiem dla koni tym, czym karczma dla szlacheckiej młodzieży. Tak jak panowie bracia muszą pokazać wszem wobec bojowe przewagi, tak wierzchowce starają się ustalić zębami i kopytami swoją końską hierarchię ważności.

O ile więc nad głową nie świszczą kule, trzeba takiego konia wyczyścić zgrzeblem, wybrać ziemię i gnój z kopyt zakrzywioną kopyścią. Jeśli czas pozwala, można go jeszcze występować, zanim wsiądzie nań towarzysz albo pocztowy. Ale powiedzmy sobie wprost – życie w obozie wojskowym to nie bajka. I gdy Szwed albo Moskal naciera, wsiada się od razu na konia, podpina popręg

na całą moc, rusza z miejsca skokiem. Kiedy bije srogo artyleria, nie ma czasu na zabawę w kawalkatorów.

Zabawa bowiem wiąże się z ubieraniem husarskiej zbroi. Wkłada się zatem najpierw żupan przeszywany albo zwykły, akksamitny czy wełniany, a na niego kaftan z mocnego płótna. Na to wszystko napierśnik, naplecznik, łączy się je pasami z boków i na górze. Na szyję zakłada się obojczyk, potem jeszcze naramienniki, szyszak husarski i oczywiście nabiodrki osłaniające nogi. Na koniec karwasze z naręczakami chroniące przedramiona i dłonie.

Wbrew temu, co można by sądzić, zbroję husarską nakłada się bardzo szybko, o ile jest na podorędziu przynajmniej jeden sługa do pomocy. Bez niego cała ceremonia przedłuża się w nieskończoność, choć bynajmniej nie przy zakładaniu kiryasu. Najwięcej siły i krwi napsuć można sobie, dociągając paski karwaszy, bo trudno jest sięgnąć ręką do sprzączki.

A potem pozostaje tylko zarzucić na ramię skórę tygrysa, lamparta albo wilka, dosiąść konia i ruszać razem z poczem za całą chorągwią, nie zapominając oczywiście wetknąć w tylny łęk husarskiego skrzydła uczynionego z orlich lub sępich piór oprawionych w srebro dla większego splendoru.

Dlatego właśnie pierwszy popis jazdy Dymitra opóźniony był o przeszło dwie godziny.

Jako pierwsza szła nadworna chorągiew husarska wojewody: strojno, szumno i paradno, ryśno i bławatno. Najpierw chorąży ze sztandarem, potem poczet rotmistrzowski, który otwierał Adam Dworycki na swym karoszu, dalej muzyka – trzech trębaczy. I wreszcie całe towarzystwo – skrzydlata husaria idąca w szesnastu szeregach, z których każdy liczył dziesięciu husarzy. Jazda jako nadworne wojsko była w barwach Mniszchów, a więc w srebrze z przydatkiem czerwieni, i taką też miała chorągiew – siedem piór w karmazynowym polu, herb rodu Maryny.

Za nimi szła rota Dymitra – w której służył Dydyński. Ta była z kolei po polsku krasna i karmazynowa, skrzydlata, licząca prawie dwieście koni. Wieziono przed nią czerwoną chorągiew carską z czarnym dwugłowym bizantyjskim orłem, który

prężył się i rozwijał skrzydła w podmuchach wiatru, jak gdyby miał zaraz zerwać się do lotu.

Poranny podmuch szeleścił morzem proporców na husarskich kopiach – długich i rozdwojonych na końcu niczym język węża.

Potem szły kolejne rotty: Stanisława Bonifacego Mniszcha, syna wojewody, Jana Fredry, kasztelana przemyskiego, i Mikołaja Szczuki; potężne i groźne, z grzmotem kopyt, łopotem sztandarów, szumem piór. Dymitr spoglądał na nie ze starego kurhanu. Nie wiadomo, co myślał, lecz jeśli nawet wcześniej wątpił, czy z nędznym wojskiem, które zebrał naprędce wojewoda Mniszech, otworzy sobie drogę do Moskwy, tak teraz pełen był dumy i uniesienia. I nic dziwnego, bo żaden monarcha na świecie nie miał nic okazalszego niż chorągiew husarska.

Sześćset koni... Sześćset kopii. Sam widok tych skrzydlatych jeźdźców budził grozę wśród Szwedów, Moskali, Wołochów i Turków; tak wielką, że najemnicy, zaciągając się na służbę króla Szwecji, zawierali osobne kontrakty, iż nie będą walczyć przeciwko tej formacji. Husarze szli naprzód jak skrzydlata burza. Atakowali i zawracali, aby ponowić uderzenie. Łamali czworoboki pikinierów, których od stu lat nie skruszył żaden kopijnik, tratowali zbrojnych rajtarów i arkebuzerów. Rozbijali i dziesięciokroć liczniejsze zastępy, a nawet pobici i rozproszeni potrafili szybko jak ptaki zebrać się do nowego uderzenia.

Za husarzami szły polskie chorągwie kozackie; jedne słabiej, inne lepiej zbrojne. W tych cięższych towarzysze i pocztowi paradowali w misiurkach i pancerzach kolczych, z rohatynami i włóczniami w rękach. W lżejszych jeźdźcy jechali w żupanach i kaftanach, z kałkanami, łukami i pistoletami w olstrach.

Potem szła piechota niemiecka wojewody. Równym krokiem, w rytm uderzeń bębna wybijanych przez doboszy, z muszkietami i forkietami, czyli widełkami do oparcia lufy w trakcie strzelania. W pochodzie ciągnął lud ognisty – muszkietierowie, Niemcy z Rzeszy albo Prus, Szkoci i nieliczni Polacy, w kapeluszach z opuszczonym prawym rondem, z szablami i rapierami u boków,

w płótkich trzewikach, pludrach i kaftanach. Pikinierów nie było, gdyż przydawali się tylko do odpierania ataków wrogiej jazdy, a to zadanie spełniały własne roty – w razie potrzeby jazda polska mogła osłonić ich murem potężniejszym niż norymberska zbroja.

Dalej szli węgry pana wojewody. Dwie setki hajduków zwalistych, roślących, dobranych spośród własnych poddanych, z królewszczyzn, z plebsu miejskiego z Sambora, Sanoka i Przemysła. Ich krok był cichy, ale sprężysty, barwy żupanów obłoczyste, czyli jasnobłękitne. Nie mieli długich, lontowych muszkietów, ale lżejsze i cieńsze arkebuzy z zamkami kołowymi i ściętymi skośnie kolbami. Szli szybko, weseli, zawadiaccy, prowadzeni przez dziesiętników i poruczników, poprzedzani przez rotmistrzów, proporników, doboszy i szyposzy zwanych piszczkami, czyli muzykantów, dyszkancistów, szałamaistów i dudków. Podążali lekko i sprawnie, podkrecając węża, jakby spieszyli się na spotkanie z dziewczką, a nie czekały ich tany z moskiewskimi niedźwiedziami.

Za nimi tłoczył się pstrokaty tłum szlacheckich wolontariuszy siedzących na byle jakich chmyzach, czyli kiepskich koniach, z których część wyglądała tak, jak gdyby przyprowadzono je prosto od pługa.

Chorągwie husarskie przejechały pod kurhanem, na którym przyjmował ich paradę Dymitr z całym dworem wojewody, zrobiły zwrot na lewo, wyszły na rozległą łąkę, na której krańcach widniały zdeptane końskimi kopytami i tysiącami stóp ścierniska. Nadchodził czas na egzercerunki, tak nie lubiane przez towarzyszy husarskich i kozackich.

– Uciszyć się! – zakomenderował Gogoliński. – Pierwszy, drugi, trzeci szeeereeg! Rozluzować!

Husarze rozjechali się na boki, zwiększając odstęp.

– Hufem marsz!

Dydyński trącił Hetmankę ostrogami, wjechał rysią pomiędzy towarzyszy pierwszego szeregu, stanął między Rodzieńskim i Rudomiłą, równo, ramię w ramię, strzemie obok strzemięcia. Z tyłu zakotłowało się, gdy pocztowi śpiesznie zajmowali swoje

miejsca za plecami towarzyszy. Chorągiew przeformowała się z szyku pochodowego do czteroszeregowego. Tam, gdzie poczty były mniejsze, nadkładano czwartą linię z czeladników tych towarzyszy, którzy służyli na cztery albo pięć koni.

– Panowie towarzystwoooo! Równaaaaj!

Husarze ścieśnili szeregi, rozwinęli się w pełni w stępie.

– Chorągiew! Rysią marsz!

Pan stolnikowic popędził łydkami Hetmankę. Niedużo, z lekka, nie musieli przecież szarżować. Rota ruszyła kłusem, ziemia zadrżała pod kopytami koni.

– Galopem! Maaarsz!

Zabrzmiała trąbka. Konie poszły w skok, na razie nieduży, zebrany, zakołysały łbami, wybijając trójtakt.

– Rota! – zabrzmiało jak uderzenie pioruna. – Po koniu!

W tył! Maaaaarsz!

Dydyński wykręcił Hetmankę w lewo samym skrzytem ciała, ustawieniem nóg, bez ruszania wodzami. Zatoczył woltę, zawracając razem z innymi towarzyszami.

Front roty stał się tyłem, tył przodem, a towarzysze zamiast w pierwszym znaleźli się w ostatnim szeregu. Oto był sławny zwrot po koniu, niespodziewany i zaskakujący, zwłaszcza wówczas, gdy chorągiew polskiej jazdy przyskakiwała do nieprzyjaciela, wywabiając go z szyku lub spoza umocnień, a potem niespodziewanie odwracała się zadem. Teraz, po zwrocie, wiedli huf Przybyłowski i Aniołowicz, umyślnie pozostawieni przez porucznika w czwartym szeregu.

– Chorągiew... W leewoooo! Marsz!

Tym razem skręcili całą linią bojową, a nie każdy osobno. Dla utrzymania szyku poczty na lewym skrzydle zwolniły do kłusa, przeciwnie na prawym – husarze odpuścili konie z ręki.

Wykonywanie obrotów i prowadzenie konia w szyku nie jest niczym trudnym. O ile oczywiście siedzi się w kulbace równie zdecydowanie co na babie i dosiada wierzchowca, który dobrze znosi bliskość innych koni. Wbrew temu, co można by sądzić, koń ściśnięty w masie innych rumaków czuje się o wiele

bezpieczniejszy i jest równie spokojny jak jego właściciel. A jeśli nawet nie chodził nigdy w ordynku, przyzwyczajenie go, by kłusował i galopował łeb w łeb z resztą innych koni, nie nastęrcza większych problemów niż wydojenie krowy; o ile oczywiście nie trafi się na złośliwego i znarowionego wierzchowca. Ale czarna owca znajdzie się nawet w królewskim stadzie.

– W lewooo! Marsz! Dalej! Równać!

Zabrzmiała trąbka, a cała chorągiew zawróciła raz jeszcze łagodnym półkołem, w tym samym kierunku, w którym jechała wcześniej.

Dowodzenie konnicą to prawdziwy majstersztyk. Ten, kto myśli, że można wyrzaskiwać się na panów towarzyszy niczym byle gefrajter albo nawiedzony kaznodzieja do plebsu, jest w błędzie, który kosztować może krechę na łbie od polskiej szabli. Daną oczywiście prywatnemu, a nie porucznikowi czy rotmistrzowi. Po pierwsze bowiem – towarzysze husarscy czy kozaccy to nie byle zafajdane gemajny, których zadaniem jest stać w błocie i bić z muszkietów, względnie trząść pludrami, stojąc z piką na wprost szarżującej jazdy, ale szlachcice z honorem i fantazją. A po wtóre – kiedy wydaje się rozkazy ogromnej masie koni i ludzi, każdy najdrobniejszy błąd urasta do nieprawdopodobnych rozmiarów. Wystarczy zła komenda, rozkaz dany zbyt późno czy za szybko, a chorągiew zbija się w splątana masę, w której kwiczą i wierzgają konie, a klnący na czym świat stoi towarzysze i pocztowi wpadają na siebie w zamęcie. I w ten sposób szyk idzie w diabły razem z całą reputacją pana rotmistrza. W dodatku długie komendy trzeba przeciągać – aby jeźdźcy mieli czas do przygotowania koni. Lecz decydować trzeba żwawo, bo wszystko w konnicy dzieje się kilkakrotnie szybciej niż przy obrotach pieszego luda. Dlatego przy rozkazach najpierw zapowiada się znacznie wcześniej, niż trzeba, co i jak ma być wykonane, a dopiero na sakramentalny okrzyk: *Marsz, Dalej* lub *Ruszaj* – rota wykonuje rozkaz jednocześnie, jakoby kto orzech zgryzł.

– Chorągiew! – zakrzyknął Gogoliński. – Znaczkami, prawoo – lewooo! Marsz!

Trąbka zagrała podwójnie. To było ryzykowne, bo nie wszyscy husarze mogli znać tę komendę. A jednak! Chorągiew rozłamała się w galopie na pół, rozeszła na dwie przeciwne strony, zataczając półkola...

– Dalej! Dalej!

– Znaczkii, lewo – prawo... Marsz!

Teraz szli w dwóch partiach albo połciach, wracając w stronę, z której przybyli.

– Znaczkii... Prawo – lewo... Marsz! W huf łącz!

Skręcili znowu na wprost, a potem na spotkanie, łącząc się na samym środku stratowanego pola na powrót w jedną czteroszerogową formację, huf najeżony – gdyby je opuścili – długimi husarskimi kopiami z furkoczącymi proporcami.

A potem odjechali z pola, dając miejsce kolejnej rocie. A kiedy już szli rysią w stronę obozu, dopiero rozpoczęły się zwykłe wojskowe gadki między panami towarzyszami – tak pieprzne i szafranne, że nawet niecnotliwa panna zemdlałaby, słysząc tylko jedno słowo.

– Waszmość rwiesz do przodu, jakby ci kusia prochem opalali! – gderał Rodziński pod adresem Jacka. – Ledwie huf cały za waścią nadążał!

– Skoro waszmości kobyła wlecze się, jakoby ją cały regiment Niemców przez ruski miesiąc chędożył!

– Marny ogier z waści, że nogami nie chce się jej przebierać! – rzucił z tyłu Świrski.

– Za to wam, panie Jędrzeju, kuś do samego nieba sterczy...

– Nie ten chłop dobry, co się drugiego nie boi, lecz ten, co z kutasem, a kutas mu stoi!

– Jeno puknąć w bok kusia, a waszmości przywali. I będą pisać ci na epitafium, żeś pod fajfusem skończył!

– A najgorzej to ze wszystkich – zaśpiewał z ruska pan Rudomina – ta bambarzyła pana Moczarskiego chodzi. Można by rzec: nie koń to, a kolubryna stara.

– Waść się kolebałeś, jakbyś Żydy woził w kulbace!

– A idźże ty na hier, farfoclu! Bo jak ja ciebie jak Żyda za brodę złapię, to jajca uszami wyjdą!



– Obroty szły nam jak krew z nosa! – zasepił się pan Gogoliński. – Ni ikry w was, ni fantazji nie ma, waszmościowie. Trzęśliście się w kulbakach jako te cycki babilońskiej nierządnicy. A dumaliście chyba o niebieskiej piczy. Co to ma być, do kurwy starej narożnicy!? Zamtuz czy chorągiew husarska?!

– A paszoł ty w siczku sraty! – warknął Rudomina. – Tak żeś komendami strzelał, mosterdzieju panie bracie, jakby się dupą stara wycierucha zebzdziła. Toż ni czerta nie poniał ja. Bo jak dumał – prosto, to było w lewo. A jak dumał – w lewo, było prosto iść hufem, prosto w samą rzyć!

– Dłatego sygnały na trąbce dawałem. Waszmość łój masz w uszach, żeś nie usłyszał!

– Ja też nie słyszałem – oburzył się Przybyłowski. – Koń chyba trębaczowi do tej rury nasrał, bo grał, jakby sodomie francuską poczynał, a nie jak hejnalista wojskowy! Wałach mój głośniej pierdzi niż waszmości trębacz!

– A bo to w ogóle nie tak trzeba było szyk łamać – mrucał z tyłu zbawienne rady pan Świrski. – Na trzy znaczki chorągiew się dzieli, a nie na dwie połcie, jakoby u świni. Z których jedna, środkowa, ściąga na siebie wroga, a pozostałe na skrzydła uchodzą, aby potem uderzyć od rogów... Tak jazda tatarska robi i często husarzy zaskakuje, że mało im rąk z kopiami nie poucina...

Przed nimi, w obozie, ozwał się wystrzał z działa.

– Ot i koło się zaczyna! – rzekł wesoło porucznik. – Mości panowie! Do obozu!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki